ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Grudnia. № 51. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

(Ob. N. 47. 48. 49. 50. Rozmaitości.)

I. Miasto Nawajów.

Wzrok nasz z żywą ciekawością zatrzymał się na tém mieście. Mogliśmy dobrze widziéć profil domów, chociaż były o jakie 10 mil (angielskich) odległe. Dziwna była ich architektura. Niektóre z nich były oddzielone od innych, dachy miały w kształcie terasów, a nad niemi powiewały chorągwie. Jeden dom większy od reszty zdawał się być świątynią. Budynek ten stał na otwartém polu, za miastem; a za pomocą lunety dostrzegliśmy liczne postaci poruszające się na jego szczycie. Byli to ludzie. Również można ich było dostrzedz na dachach i parapetach innych pomniejszych domostw. Innych widzieliśmy na płaszczyźnie, pomiędzy miastem i nami, goniących przed sobą trzody bydła, mułów i koni. Niektórzy byli nad brzegiem rzéki i dojźrzeliśmy kąpiących się.

Kilka stad koni, których boki zaokrąglone świadczyły o dobrym bycie, pasły się na łące. Stada dzikich łabędzi, gęsi i gruyów zaludniały kręto biegnącą rzékę.

Wtém słońce się zniżyło; góry odziały się barwą ambry, a kwarcowe kryształy zabłysły na szczytach południowéj *Sierry*.

Była to scena pełna wrażenia swoją pięknością i spokojem. Jakże niedługo, pomyślałem sobie, ten cichy obraz zakłócą mord i pożoga!

Długo staliśmy tak pogrążeni w cichém rozpatrywaniu się w dolinie, nie mówiąc do siebie ani słowa. Była to cisza, jaka poprzedza zwykle straszne postanowienia. Umysłami moich towarzyszy wstrząsały różne myśli i uczucia; rozmaite tak co do natury jak co do stopnia swéj siły, a różne od siebie jak niebo od ziemi.

Niektóre z tych uczuć były święte. Ludzie ci, patrząc natężonym wzrokiem na płaszczyznę, chcieli rozpoznać w takiém oddaleniu rysy ukochanych istot: żon, siostr, córek, a może osób droższych jeszcze nad nie. Ale nie — nikt

nie mógł być głębiéj wzruszony jak ojciec szukający swego dziecka. Ze wszystkich uczuć miotających patrzącymi, miłość ojcowska najsilniéj była poruszona.

Niestety! w duszach tych którzy mię otaczali, burzyły się i inne namiętności — namiętności straszne i grzeszne. Dzikie spojźrzenia padały na miasto; — jedni oddychali zemstą, drudzy żądzą grabieży; inni nareszcie, niby wcielone szatany drzeli pragnieniem mordu. Mówili oni o tém po cichu przez całą drogę, i zawczasu sprzeczali się o cenę *scalpów.*

Na rozkaz Seguina udaliśmy się pod drzewa i naprędce złożyliśmy radę wojenną. Chodziło o to, w jaki sposób opanować miasto. Niemożna było zbliżać się we dnie. Mieszkańcy spostrzegli by nas z daleka i uciekliby do lasu. Tym sposobem cel wyprawy byłby chybiony.

Wysłać jaki oddział na drugi koniec doliny, aby przeszkodził ucieczce, było także niepodobieństwem. Miejscami góry przytykały do saméj płaszczyzny, wznosząc się prostopadle może na tysiąc stóp w górę, a między niemi niebyło żadnego wąwozu ni przejścia, któremby oddział ów miasto mógł obejść. I tę więc myśl trzeba było porzucić.

Gdyby można okrążyć *Sierrę* południową i podstąpić lasem, zbliżylibyśmy się niepostrzeżeni prawie pod same domy. Przewodnik zapytany, powiedział że się to da wykonać, ale że trzebaby jakie pięćdziesiąt mil nadłożyć. Nie mieliśmy na to czasu, zatem zaniechaliśmy i tego zamiaru.

Jedyny plan praktyczny, albo przynajmniéj mający za sobą prawdopodobieństwo wykonania, był: zbliżyć się w nocy do miasta. Ten plan zatem przyjęty został.

Seguin niechciał miasta w nocy atakować; — kazał tylko otoczyć go do koła w pewném oddaleniu, i w ukryciu czekać rana. Tym sposobem ucieczka mieszkańcom została przeciętą, a przy świetle dzienném mieliśmy większą łatwość odszukania naszych jeńców.

Tymczasem ludzie pokładli się na ziemi, i z cuglami na ręku oczekiwali zachodu słońca.

II. Nocna kryjówka.

Tak upłynęła mała godzina. Świetna słoneczna kula żnikła za nami, a kwarcowe skały przybrały barwę ciemną. Ostatnie promienie słońca zapaliły na chwilę najwyższe ich szczyty, i zagasły. Noc zapadła.

Wąskim a długim sznurem zeszliśmy na dolinę po spadzistéj pochyłości, potém zwróciwszy się na lewo, mknęliśmy daléj podnóżem gór. Skały służyły nam za przewodników.

Szliśmy ostrożnie i rozmawialiśmy po cichu. Droga, którąśmy postępowali, zasiana była urwiskami, które się osunęły z gór. Musieliśmy omijać skarpy wybiegające aż na płaszczyznę. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się dla naradzenia. Po dziesięciu albo dwunastu milach takiéj drogi znaleźliśmy się z drugiéj strony miasta. Nie byliśmy od niego daléj jak na milę. Spostrzegliśmy ognie porozpalane na płaszczyźnie i słyszeliśmy głosy tych, którzy je otaczali.

Tam podzieliliśmy nasze wojsko na dwie części. Mały oddział pozostał ukryty w wąwozie śród skał. Ten oddział miał sobie powierzoną straż nad niewolnikiem, któregośmy ujęli byli w drodze i nad bagażami. Główny korpus poszedł naprzód pod przewodnictwem Rubego, i postępował granicą lasu, stawiając posterunki w pewnych od siebie odległościach.

Te posterunki pokryły się na swoich stanowiskach, i w głębokiém milczeniu oczekiwały uderzenia w trąbę, które jako hasło miało zabrzmieć o świcie.

Milcząca noc zwolna upływa. Ognie pogasły jedne po drugich i dolinę obsiadła ciemna noc bez księżyca. Czarne chmury płyną po niebie i deszcz zagraża, rzadki fenomen w tym kraju. Słychać niestrojny głos żórawia; nad rzéką pokrzykuje gruja, a wilk wyje pod ścianami zaspanego miasta.

Wrzask olbrzymiego nietoperza przeszywa powietrze i słychać klekotanie jego skrzydeł; ziemia głucho jęczy pod końskiemi kopyty; chrupotanie trawy miesza się z brzękiem wędzideł, bo konie pasą się ochełzane. Niekiedy ten lub ów z wojowników zamruczy parę słów, bo mu się śni, że się bije z nieprzyjacielem.

Nareszcie przede dniem wszystko umilkło. Wilki wyć przestały; — łabędź i niebieska gruja siedzą cicho; drapieżne ptaki nasyciły swoje zarłoczne brzuchy i posiadały na sosnach; muszki fosforyczne znikły pod wpływem coraz zimniejszego powietrza; a konie spasłszy wszystką trawę naokoło siebie, pokładły się i zasnęły.

Szare światło poczęło się rozlewać po dolinie i ślizgać po skałach gór kwarcowych. Świéże powietrze poranku pobudziło nas.

Poczęli wstawać jedni za drugiemi, drżąc i okrywając się w płaszcze. Wszyscy zdali się być znużeni, twarze mieli blade i mizerne. Szary świt fizyognomiom ich zarośniętym i nieumytym nadawał wyraz straszydeł.

Za chwilę potém ściągnięto powrozy, na których konie były powiązane; towarzysze moi obejźrzeli kurki i panewki, podciągnęli pasów, i dobywszy z torby po kawałku *tasajo* *), jedli je surowo, zgięci nad końmi, gotowi każdéj chwili skoczyć na siodło. Ale czas jeszcze nie nadszedł.

Nareszcie jasno się zrobiło na dolinie. Mgła niebieskawa unosząca się w nocy nad rzéką podniosła się. Byliśmy w stanie rozróżnić wszystkie pojedyncze części domostw. Dziwnie były zbudowane.

Najwyższe były o jedném, dwóch, trzech, a nawet o cztérech piętrach, a wszystkie miały kształt ściętéj piramidy. Każde piętro było mniejsze od tego, które było pod niém, a tym sposobem tworzyły się terasy jedne nad drugiemi. Domy te były jasno-żółte — jest to kolor ziemi, z któréj są zbudowane. Nie było w nich wcale okien; na każdém piątrze drzwi otwarte na zewnątrz, dawały wstęp do środka; drabiny wsparte o mury pro-

*) *Tasajo* mięso bawole *wędzone*, a raczéj suszone na dymie i słońcu.

wadziły z terasu na teras. Niektóre z domów miały na szczycie sztandary; były to mieszkania naczelników i wielkich wojowników.

Widzieliśmy wyraźnie i świątynię. Miała ten sam kształt co i domy, tylko była rozleglejsza i wyższa. Z jéj dachu wystrzelał wielki maszt, na którym powiewał sztandar z dziwaczném godłem.

Tuż przy domach widać było ogrodzenia, w których zamknięte były muły i mustangi; — to było bydło miejskie.

W miarę jak dzień stawał coraz jaśniejszy, ujźrzeliśmy jakieś postacie ukazujące się na dachach i poruszające się wzdłuż terasów; były to postacie ludzkie, odziane w suknie powiewające z wiatrem. Rozpoznaliśmy odzież Nawajów, w pasy białe i czarne naprzemian.

Za pomocą lunety potrafiliśmy nawet płcie rozróżnić. Wszyscy mieli długie włosy, spadające niedbale po barkach; aż po niżéj pasa. Po większéj części były to kobiéty i wiele dzieci. Byli tam także i mężczyźni, prawie wszyscy starcy z białym włosem. Młodszych nie wielu i to nie wojowników; wojownicy wszyscy wyszli na bój.

Za pomocą drabin ludzie ci zeszli z terasu na teras — udali się na dolinę i poczęli rozpalać ognie. Niektórzy z naczyniami glinianemi, tak zwanemi *ollas*, na głowie, szli do rzéki po wodę. Ci byli prawie całkiem nadzy. Ciało ich było brunatne a piersi gołe. — To byli niewolnicy.

Tymczasem starzy udali się na wierzch świątyni, a za niemi kobiéty i dzieci, jedne ubrane biało, inne w różne kolory.

Około stu osób zgromadziło się na najwyższym dachu. Obok drzewca chorągwi wznosił się ołtarz. Nareszcie podniósł się z razu dym, potém płomień zabłysnął: — zapalili ogień na ołtarzu.

Wtedy zabrzmiał śpiew i ozwał się bęben indyjski. Szmery ucichły i wszyscy stali nieporuszeni i milczący, z twarzą zwróconą ku wschodowi.

W téj postawie oczekiwali wschodu słońca, gdyż ludy te czczą słońce.

Towarzysze moi z ciekawością patrzyli na tę ceremonię.

Wreszcie zapalił się najwyższy szczyt gór kwarcowych. Był to piérwszy znak wschodu słońca.

Złotawa barwa rozlała się od szczytu — inne szczyty się zapaliły, i promienie słońca padły na twarze jego czcicieli, a przy tym blasku poznaliśmy białych między niemi: byli to kobiéty i dziéwczęta.

— „O Boże! spraw żeby i ona tam była!“ zawołał Seguin chwytając nagle za lunetę i przykładając do ust trąbkę.

Czyste, donośne dźwięki rozległy się w dolinie. Jeźdzcy posłyszawszy hasło, wyskoczyli z krzaków i wąwozów, i pędząc galopem po płaszczyźnie, rozwijali się w naprzód obmyślonym szyku.

W kilka minut utworzyliśmy jeden wielki okręg do koła miasta, ku któremu niosły nas konie.

Atajo *) i jeniec zostały w wąwozie pod strażą małego oddziału.

Dźwięk trąby zwrócił także uwagę mieszkańców. Stanęli na chwilę nieru-

---

*) *Atajo* bagaże — oddział z bagażami.

chomi z podziwu, widząc krągłą linią, która ich do koła opasywała, i jeździców pędzących ku nim.

Miałożby to być igrzysko wyprawione przez jakie przyjaźne pokolenie?... Nie... Te dzikie głosy, te trąby, całkiem są nowe dla ucha Indyan. Niektórzy z nich jednak słyszeli już gdzieś te dźwięki.... to trąbka bojowa bladych twarzy!...

Przez chwilę osłupienie odjęło im całkiem siły do działania. Jużeśmy się dobrze zbliżyli, a oni patrzyli jeszcze na nas. Nareszcie ujźrzeli blade twarze, dziwną broń, konie w niezwyczajnych rzędach... To nieprzyjaciel! To biali!...

Na ten widok poczęli biegać z miejsca na miejsce, z ulicy na ulicę. Ci którzy nieśli wodę, pociskali swoje *ollas* na ziemię, i co im siły stało pędzili ku domom. Następnie poczęli wbiegać na dachy ściągając za sobą drabiny. Wrzaski skrzyżowały się w powietrzu; mężczyźni, kobiéty, dzieci, wydają straszliwe krzyki. Trwoga maluje się na wszystkich twarzach — widać przestrach we wszystkich ich poruszeniach.

Tymczasem nasz szyk się ścisnął, a gdyśmy byli na dwieście może jardów od miasta, zatrzymaliśmy się na chwilę. Dwadzieścia ludzi odkomenderowanych zostało do tylnéj straży; reszta połączyła się w korpus i poszła naprzód z dowódzcami na czele.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

INDYANKI.

Ceniony w literaturze angielskiéj z wiadomości stosunków indyjskich p. Troyer, przytacza w dziele swém o obyczajach i zwyczajach indyjskich kobiet niektóre osobliwości, ciekawsze już z tego w europejskim świecie, że wiele rzeczy bliżéj wyświecają i dorzucają poniekąd światła do fizyologii niewieściéj. W ogólności tak mówi:

Uroda kobiét indyjskich i cała ich postać miła i powabna. Wzrost ich średni, twarz pociągła, nosek ściągły, wązki i foremny, włosy gęste, długie, hebanowego połysku, usta pełne, rozkoszne i pięknie wywinięte, oczy długiego wykroju z gęstą rzęsą. Kibić wcięta i wiotka, członki smukłe lecz oraz i potoczyste, a w ogóle pięknie zbudowane. Pełna pierś i jakby ulana, głównym jest zresztą warunkiem piękności u Indyanek. Płeć jak do klimatu: w Kaszemirze i w krainie górskiéj biało-przeźroczysta, w prowincyach zaś południowych blado-ciemnawa, śniada, częstokroć także oliwkowa, a u pospólstwa nawet całkiem ciemna. Rysy tak jak u kobiét europejskich urozmaicone. Malowidła indyjskie wykonane na szkle lub papierze, tudzież wyobrażenia plastyczne z drzewa, bronzu lub kamienia, przedstawiają zawsze takie smukłe postacie, jakich u starożytnych mistrzów greckich nie znano, a co teraz tyle poszukują w utworach nowoczesnych.

Ubior u kobiét indyjskich różni się zupełnie od stroju dam europejskich. Indyanki nie wdziewają koszuli, a pończoch, rękawiczek, czepków i tym podobnych rzeczy wcale nie znają. Noszą krótkie, u szyi głęboko wykrojone kaftaniki, z pstréj materyi jedwabnéj, a rękawki sięgają zaledwie niżéj pachy. Od bioder spada im do kostek opona (zapaska) z jednostajnego kawałka materyi, któréj jeden koniec zarzucają przez ramię. Ubior ten,

jak równie i kaftanik, jest mianowicie u kobiet znaczniejszych zawsze z barwistéj materyi jedwabnéj, ozdobnie przetykany, subtelny, a oprócz tego noszą jeszcze i szal kaszemirowy. Mahometanki i tancerki noszą téż pstre pantaloniki jedwabne, najczęściéj w paski czerwone i białe. Na to wdziewają jeszcze osoby znaczniejsze owisłą suknię zwierzchnią, z długiemi rękawami. Takie suknie są z najprzedniejszych materyi i dziwnie namarszczane. Zawijają najprzód rękawy począwszy od wylotów aż do pachwin, potém samą suknię od dołu aż do stanika i daléj, skręcają to wszystko w długi wałek, tak jak na przykład praczki wykręcają mokrą bieliznę. W takim stanie idą te suknie do schowku, a przywdziane nastrzępiają się w sposób szczególny, i stanowią wytwór wyszukany.

Hinduanki kochają się najbardziéj w manelach z pereł, złota, srebra i z drogich kamieni; uboższe poprzestają na mniéj kosztownych świecidełkach z żelaza, ołowiu, laku, lub na szklannych paciorkach. Kobiety przekłuwają sobie nietylko uszy, lecz także chrząstkę i miękisz u nosa, wtykają kolce metalowe lub drogie pierścienie spadające na usta i jagody. Kolcami zdobią téż uszy, przekłuwając je nietylko u dołu, lecz nadto i w cały okół, i u kolców zawieszają wisiory z drogich kamieni i sznurki pereł i korali, tak że im na ramiona spadają. Przy tém przystrajają i głowę. Gęste, krucze i połyskliwe włosy zaczesują gładko, i upinają na karku w węzeł potężny, spięty złotemi iglicami, lub okręcony sznureczkami z pereł i drogich kamieni. Na niektórych obrazach widać na ciemieniu jeszcze i drugi, lecz daleko już mniejszy węzeł czyli koszyk z włosów, podpięty złocistemi świecidełkami. Po obu stronach od tego koszyka uwieszają téż wielkie szkarłupy kształtu medalionów, i przetykane znów wisiorami złotemi, lub sznurkami z pereł i drogich kamieni, powiązanemi z ozdobami u uszu. Niemniéj obwieszają i szyję złotemi kolejami, manelami, sznurkami pereł i tym podobnie, z dodatkiem rozlicznych wisiadełek i ozdób spadających aż do pasa i gubiących się w złocistym szlaku kaftanika.

Brzeg rękawów ma zwykle wytworną powłóczkę, a oprócz tego noszą Indyanki jeszcze i naramienniki, branzoletki złote, lub z pereł i drogich kamieni. Wszystkie palce u rąk i u nóg natykają pierścieniami, a przy tém noszą i powyż kostek rozmaite ozdoby.

Dziwnie zresztą wydawać się muszą Europejczykom czarno-połyskliwe zęby Hinduanek. Tak samo dziwili się niegdyś i Hinduanie białym zębom Portugalczyków, którzy najpiérwsi pojawili się na brzegach malabarskich; porównywali zęby ich z zębami psiemi i małpiemi.

Oprócz tych ozdób, noszą jeszcze damy indyjskie zasłonę z szlakiem złotym, i upiętą na wierzchu głowy, która spada na całą twarz i niżéj.

Wspomnieć tu należy i o szalach z Kaszemiru, opłacanych tak drogo w Europie. W mieście Kaszemirze znajduje się do 16,000 tkackich warsztatów. Każdy zakład tkacki liczy kilka lub kilkanaście takich utoków, a pewien podróżny (baron Hügel) daje obszerny ich opis. Robotnicy siedzą natłocznie; przy siedmiu warsztatach pracowało szesnaście dziewcząt, każda za ściegiem chwiała w takt głową i wywijała rękoma z dziwnym pośpiechem. Nad jednym wielkim szalem pracują w zakładzie nie raz rok cały i dłużéj; szalów mniejszych wyrabiają sześć lub ośm w przeciągu roku. Trzech robotników nie utka u wyborowego i barwistego szalu i ćwierć cala na dzień. Szale z rozlicznemi figurami i różnych deseni tkane bywają częściowo w różnych wydziałach fabrycznych; części te są rozmaitéj wielkości, i wrabiają je w końcu w jedną całość. Przy każdym warsztacie pracuje dwie do czterech osób. Warsztat tkacki jest długi, wązki i ciężki; są jednak jeszcze i osobne krosna, u których desenie barwiste wyrabiają za pomocą iglic drewnianych z różnobarwną nawłóczką. Każdy szal ma osobnego

dozorcę, który całą robotą kieruje. Ma on przed sobą wzór osobno sporządzony na papierze, i według tego oznacza kolory, nitki i kształty. Szal w robocie idzie na nice, a porą zimową tkają go w izbach nieopalanych, ażeby tym sposobem ochronić tkaninę od dymu i pyłu.

Wyroby szalów są trudne i bardzo mozolne. Przed rozpoczęciem pracy warsztatowéj trzeba wprzód mieć rysunek. Rzecz to najgłówniejsza, a liczba zdatnych rysowników w Kaszemirze bardzo mała. Układają oni rozmaite wzory i desenie, oglądając się przy tém zawsze na gust i modę. Taki wzór przechodzi następnie w ręce innych rysowników, którzy z wszelką dokładnością cieniują tuszem wszystkie te drobne i niezliczone kwiatuszki, liście, floresy, ornamenta i linijki, a daléj ilustrują to farbami osobni wzorownicy. Od tych idą wzory do rachmistrza, który oblicza ilość nitek i strzępów barwy rozmaitéj, i co z największym tylko trudem przychodzi. Podczas pobytu sprawozdawcy niniejszych szczegółów, było w całym Kaszemirze tylko dwóch uzdolnionych Indzi do obliczenia potrzeb u wielkich szalów. Oni to wydają cząstkowe wzorki każdemu z robotników i robotnicom, z gotowém już obliczeniem tła, przedziałów i nitek barwy rozmaitéj, tak wskośnych jak i poprzecznych.

Szale kaszemirowe są bardzo trwałe tak co do tkaniny jak i barwy. Kilkoletniém noszeniem nie tracą bynajmniéj na swéj rzeczywistéj wartości, a nadto przybierają jeszcze piękniejszy połysk i miąsz przyjemniejszą. I dla tego téż są w takiéj cenie. Całkiem nowy szal przychodzi najdrożéj, a w miarę dłuższego lub krótszego używania ubywa mu z ceny. A chociaż szal używany jest na pozor jeszcze piękniejszy, z tém wszystkiém cena jego nie idzie za tém; prany nie tyle już popłaca. Bogaci Hinduanie noszą zwykle nowe tylko i nie prane jeszcze szale; lecz że są nie tak miękkie i mniéj przyjemne w noszeniu, przeto ci, co o pozor bogactwa niedbają lub dbać niepotrzebują, każą je wprzód przepierać. Z tém wszystkiém utrzymują szale tak długo jak tylko można bez prania, zwłaszcza że od samego już noszenia przybierają połysk piękniejszy i lepiéj przylegają. Wszystkie do Europy sprowadzane szale były już wprzód w Indyach noszone i prane.

Oprócz ubioru, ozdób i klejnotów, należą do zupełnego stroju dam indyjskich jeszcze wachlarze i parasole od słońca. Niemniéj wyszukane wachlarze są z jednego już liścia palmy tulipanowéj, który zmarszczony od trzonka czyli łodygi i obrzeżony stanowi okrąg 10- do 12calowy w przecięciu. Wachlarzy tych używają tak kobiéty jak mężczyźni z niższych stanów. Inny rodzaj wachlarzy z liścia palmowego ma trzonek delikatniejszy z trzciny pieprzowéj i ozdoby z jedwabnych kwiatuszków. Są téż i półkoliste bez trzonka, lecz z otworem dla nasadzania ich na rękę. Takie wachlarze plecione są z korzonków lub ze słomki, malowane, częstokroć przeszywane jedwabiem lub okolone frędzlami różnobarwnemi. Używają téż i długich oganków z piór pawich dla opędzenia się przed muchami. Niekiedy mają trzonki bardzo kosztowne, a czasem przybierają kształt potężny, wielkości roztoczonéj kity pawiéj, a umocowane są do długiéj tyczki. Oprócz tego mają jeszcze i właściwe parasole całkiem koliste z plecionki lub z rozmaitych materyi, i albo składają się tak jak nasze, lub są zawsze wyprężone i dość obszerne na ochronę od słońca.

W pachnidłach i tym podobnych olejkach są Hinduanki bardzo wymyślne. Ręce i nogi, także twarz i odsłonione części ciała farbują szafranem, a piżmo i cyndal (drzewo sandałowe) najlubieńsze dla nich pachnidła.

Wprawdzie ustawa prawodawcy „Manu“ ogranicza dosyć kobiéty indyjskie; ale jednak nie trzyma ich w zamknięciu, i widzieć można kobiéty w towarzystwach rojnych i na placach targowych wspólnie z mężczyznami, którym w pracy pomagają. Tak na przykład

roznoszą wraz z mężczyznami wodę, sprzedają sól, mleko i tym podobne przedmioty. Pokutnicy i pątnicy odbywając pielgrzymkę po świętą wodę gangesową, zabierają z sobą i żony swoje. Wizerunki Chabrili'ego z Indyów francuskich przedstawiają nam między innemi w obrazach naprzykład mularza przy pracy, a obok żonę i córkę jego, jak mięszają wapno w zasieku; obok widać garnczarza, jak toczy na kręgu naczynia, a żona jego zatrudniona polewaniem, dźwiga potém garnki z mężem na targowicę. Podobnie i tkacze, koszykarze, stelmachy, kamieniarze i cieśle pracują z żonami. Z myśliwym idzie żona na polowanie, i znosi zwierzynę ubitą; żona rybaka stoi na brzegu i czeka na połów. Wszędzie zresztą staje żona z mężem; jedyny w téj mierze wyjątek stanowią praczki, ktore same piorą suknie i bieliznę, lecz za to mężowie roznoszą wykręconą do suszenia na słońcu.

Znakomite damy indyjskie wiodą życie wygodne i trawią czas na strojeniu się i rozrywkach w przepysznych przedsionkach pałacowych i rozkosznych ogrodach.

Słynęły niegdyś wielce pałace władzców mongolskich, a najświetniejsze ze wszystkich apartamentów były komnaty licznych żon moguła wielkiego. W pałacu cesarskim w Delhi znajdował się osobny wydział dla kobiét, „Mahal“ zwany. Pomiędzy zabudowaniami płynęły strumyki czystéj wody, ciągnęły się ogrody z chłodnemi altanami, fontanami, wodospadami i pięknemi terasami. Nad rzeką wznosiła się wieżyca z dachem złocistym; wnętrze jéj połyskiwało złotem i azurem a po ścianach pełno było zwierciadeł i malowideł. W seraju tym było za cesarza Jehangira do dwóch tysięcy kobiét podzielonych na sześć klas. Do piérwszéj należały królowe czyli żony właściwe, do drugiéj nałożnice, do trzeciéj księżniczki i młodzi książęta, do czwartéj damy dworskie i dozorczynie, do piątéj kaplica nadworna, a do szóstéj niewolnice i rzezańce.

Jak w prawodawstwie tak i w mytach hinduańskich zajmują kobiéty stanowisko podrzędne. Kobiéta nie może sama od siebie ani ofiar sprawować, ani własną zasługą zjednać sobie łaskę w niebiosach. Dostąpić jéj może jednak wiernością i zupełném poświęceniem się dla męża.

W świątyniach jest tylko rodzajem ozdoby, a mianowicie przy obrzędach połączonych z świętemi pląsami. Dziewczęta przeznaczone na tancerki, wprawiają się w powołanie od najpiérwszéj już młodości. Należą do klas niższych, u których to wielkim zaszczytem, że córki ich wybrano do pląsów w świątyniach przed obrazami bóstw, lub podczas procesyi uroczystych. Zwykle mają dozgonne umieszczenie przy świątyniach, lecz często opuszczają dobrowolnie przytułek, i w domach prywatnych zabawiają gości za pewną zapłatę. Tancerki kościelne są bez wyjątku Hinduanki, poświęcają się całkiem usługom świątyni, za to téż żyją z posług kościelnych. Przedstawiają sceny z pieśni bohaterskich i z epopei, a wykonywują je plastycznie i z dziwną zręcznością przy odgłosie fletu i bębenka.

(Dokończenie nastąpi.)

PIOSNKA SERBSKA.

Djevojka sjedi kraj mora,
Pak sama sebi govori:
„Ach mili Bože i dragi!
Ima l'szto szire od mora?
Ima l'szto duže od polja?
Ima l'szto brže od konja?
Ima l'szto sladže od meda?
Ima l'szto draže od brata?“
Govori riba iz vode:
„Djevojko, luda budalo!
Szire je nebo od mora,
Duže je more od polja,
Brže su oczi od konja,
Sladži je szeczer od meda.
Draži je dragi od brata.“

Dzieweczka siedzi nad morzem,
Sama do siebie przemawia:
„Ach miły Boże i drogi,
Jest téż co szersze od morza?
Jest téż co dłuższe od pola?
Jest co prędszego od konia?
Jest téż co słodsze od miodu?
Jest co droższego od brata?“
A z wody rybka odmawia:
„Dzieweczko, głupiaś niebogo!
Szersze jest niebo od morza,
Dłuższe jest morze od pola,
Prędsze są oczy od konia,
Słodszy jest cukier od miodu,
Droższy kochanek od brata.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*